

Czytając Różewicza (5) Janusz Drzewucki



Zgodnie ze staropolską zasadą: podobno nie dochodzą tylko niewysłane listy. W domyśle: niewysłane, bo nigdy nienapisane. Zasada ta nie dotyczyła jednak Tadeusza Różewicza, on bowiem pisał listy, ale czasem ich nie wysyłał z sobie tylko znanego powodu (wiem, co mówię, bo przekonałem się o tym na własnej skórze). Albo wysyłał po latach, czego dowodem list do

Stanisława Gębali napisany w sierpniu 1991 roku, jednak wysłany – jako dodatek do listu z kwietnia 2002 roku. Takich listów musiało być więcej, skoro kilka lat wcześniej poeta wyznał krytykowi: „Kiedyś odpisałem Panu wierszem (!) odpowiedź na list... ale wiersz zaginął wśród papierków, może się kiedyś ujawni?!” (22 maja 1995 roku). Kto ciekawy tego, co więcej, niech

zajrzy do książki Stanisława Gębali *Niezapisane rozmowy. Wspomnienia, szkice i korespondencja z Tadeuszem Różewiczem z lat 1978–2013* (Ośrodek Wydawniczy „Augustana”, Bielsko-Biała 2020). Pod jedną okładką mamy tu poniekąd dwie książki, korespondencja bowiem to, że tak się wyrażę, druga połowa książki, natomiast pierwsza to zbiór jedenastu szkiców o twórczości tego pisarza; nie licząc tekstów o charakterze wspomnieniowym.

Stanisław Gębała to jeden z ważniejszych znawców twórczości autora *Niepokoju*. Dość wspomnieć, że w roku 1978 wydał książkę *Teatr Różewicza*, w zbiorach esejów zaś *Wśród szyderców i gdzie indziej* (1981) oraz *Teatralność i dramatyczność* (2005) – między tekstami o Witoldzie Gombrowiczu i Sławomirze Mrożku – pomieścił solidne i wyczerpujące artykuły o twórczości autora *Kartoteki*. Krytyk nawiązał z pisarzem kontakt listowny już po wydaniu swojej fundamentalnej książki o dramaturgii Różewicza, tego kontaktu nie szukał wcale wcześniej, a więc podczas pracy nad książką. W pierwszym liście do pisarza wyznał nie bez bojaźni: „krytyk – taki jak ja – nie jest w stanie powiedzieć pisarzowi nic interesującego; powinien zatem operować raczej na polu pomiędzy dziełem a odbiorcą” (2 czerwca 1978 roku), za co zresztą poeta podziękował krytykowi w jakże charakterystycznym dla siebie stylu: „Bardzo Panu dziękuję, że był Pan tak dobry (i mądry) i nie szukał «osobistych kontaktów» przed i w czasie pisania książki...” (6 czerwca 1978 roku).

Bez wątplenia Różewicz nie pozostawił po sobie tak obszernej korespondencji, jak dajmy na to Jarosław Iwaszkiewicz, Czesław Miłosz czy Zbigniew Herbert, o Jerzym Giedroyciu już nie wspominając, ale tomy epistolografii, jakie już się ukazały, pozwalają postawić tezę, że gdy się z kimś zaprzyjaźnił, gdy się z kimś dobrze zaznajomił, z tym utrzymywał kontakt do końca, cokolwiek to znaczy. Mam tu na myśli zbiory korespondencji z Zofią i Jerzym Nowosielskimi

(2009), z Karlem Dedeciusem (2017), z Romaną i Henrykiem Voglerami (2019) oraz z Ryszardem Przybylskim (2019). Do tego docho- dzą ogłoszone w książce *Margines, ale...* (2010) listy od Juliana Przybosia i Jerzego Zawieyskiego, do i od Jana Brzękowskiego oraz Pawła Mayewskiego, do Barbary i Konrada Swinarskich, a także wyimki z korespondencji do Wisławy Szymborskiej i Kornela Filipowicza. Z tego, co wiadomo, w niedalekiej przyszłości ma się ukazać korespondencja Różewicza z Mieczysławem Porębskim. A przecież chciałoby się poznać całość – ogłoszonej dotychczas we fragmentach na łamach „*Twórczości*” – korespondencji z Kazimierzem Wyką i Jerzym Lisowskim, nie mówiąc o całości epistolografii z autorem *Sponad i Oburącz*.

Ale wracam do korespondencji Różewicza z Gębałą. Po wymianie pierwszych listów zapadła między nimi długa, bo aż do roku 1981, cisza. A po wymianie – *ut ita dicam* – drugich listów znów kilkuletnia cisza, do roku 1985. Trzeba z góry zaznaczyć, że od 1985 do 1997 zwłaszcza była to korespondencja wyjątkowo intensywna. W dużej mierze za sprawą Gębali, któremu udała się wielka sztuka, jak sądzę, mianowicie: podbił Różewicza nie tylko błyskotliwością i celnością, z jaką dzielił się refleksjami na temat jego pisarstwa na marginesie wydawanych akurat książek, ale i celnością oraz dosadnością, z jaką interpretował jakoś przemian już to politycznych i społecznych, już to religijnych i obyczajowych zachodzących w tym okresie w naszym kraju; a na dodatek szczerością, z jaką dzielił się z pisarzem swoimi osobistymi sprawami. Wychodząc z założenia, że wobec uwielbianego przez siebie pisarza i człowieka może sobie pozwolić na pełne zaufanie, pisał do niego wprost o własnych zaiste skomplikowanych perypetiach zawodowych i rodzinnych; bo to: kłopoty z pracą naukową i dydaktyczną, kłopoty z wiecznie niedoinwestowanym domem w Buczkowicach koło Bielska-Białej, śmierć żony, śmierć syna, powtórny ożenek, narodziny

córki. Dowodem zażyłości między nimi może być fakt, że poeta kilka razy odwiedził krytyka w jego domu, co nawet upamiętnił, o ile to dobre słowo, w wierszu *Czytanie książek*, ogłoszonym w tomie *Płaskorzeźba* (1991): „19 maja 1988 roku / byłem w Buczkowicach / u Stanisława Gębali / właśnie zegar na kościelnej wieży / wybił godzinę dwunastą”.

Znając specyficzne poczucie humoru autora *Na czworakach*, w tym także jego poczucie czarnego, by nie powiedzieć wisielczego humoru, śmiem twierdzić, że musiały przypaść mu do gustu: opis podróży fiatem 126p autostradami w RFN do mieszkającego pod granicą z Holandią brata latem 1989 czy opis karkołomnego dojazdu z Buczkowic przez Bielsko-Białą do Krakowa, następnie spod dworca tramwajem na Salwator i potem prosto autobusem do pracy w Instytucie Badań Polonijnych UJ – przeniesionego właśnie z Rynku Głównego – do siedziby w Przegorzalach wiosną 1991; nie mówiąc już o zgoła absurdalnej przeprowadzce z Buczkowic do odległego o dziesięć kilometrów Bielska-Białej i po kilku latach z powrotem z Bielska-Białej do Buczkowic (zimą 1992) czy o obronie rozprawy habilitacyjnej przed komisją składającą się z jego niegdysiejszych studentów i młodszych kolegów (latem 2005).

Inna sprawa, że pisząc do Różewicza – znamienne, że aż do ostatniego listu pozostali ze sobą „per pan” – Gębala nie oszczędzał siebie samego, kpil z siebie, ze swojego losu, z przesładującego go pecha, ale także własnej życiowej niezdarności, i to kpil ile wlezie. Nazywał siebie „natrętem” (18 lipca 1985 roku), „koszmarnym nudziarzem” (20 marca 1990 roku), dokonując zaś rekapitulacji dorobku literaturoznawczego, dochodził do wniosku: „zmarnowałem kawał życia” (1 marca 1990 roku), „Brak mi pomysłu na inną życie [...] ostatnio raczej przyglądam się życiu, niż żyję” (14 kwietnia 1991 roku), „mam jakiś wyjątkowy talent do marnowania czasu [...] mam jeszcze jeden talent: do absurdalnego

komplikowania sobie życia” (13 stycznia 1992 roku). I z brawurą autoironią mógł też wyznać pod koniec listu z 15 lutego 1993 roku: „Rzuciłem teraz okiem na to, co napisałem wyżej i zobaczyłem bardzo piękny autoportret życiowego nieudacznika i pechowca”. Kilka lat później będąc w całkiem piwnicznym nastroju zapewnia poetę: „próbuję wykazać, że jeszcze coś tam (tzn. tu) robię” (10 marca 1996 roku), ale też mityguje się przed nim: „ten list niebezpiecznie zbliża się do granicy psychicznego ekshibicjonizmu (o ile jej nie przekroczył)” (30 września 1997 roku), by potem znów donieść o „kolejnej próbie ucieczki stąd”, czyli znów z Buczkowic do Bielska-Białej, ale także: „nieustannie obmyślam plan tej ucieczki stąd, popatrując w stronę Zielonej Góry, a nawet Szczecina” (6 października 2001 roku). A następnie: „i... ciągle liczę – liczę lata. Przede wszystkim stracone, zmarnowane” (19 lutego 2005 roku), by z czasem znów się mitygować i przeproszać za „nieznośny, jęklivy ton nieudacznika, któremu nie udało się życie i gotów jest wszystkich o to obwiniać – z wyjątkiem siebie samego” (16 listopada 2011 roku).

Tego, co o sobie Stanisław Gębala pisze, nie należy traktować zbyt dosłownie. O jego znaczeniu w krytyce literackiej świadczy jego dorobek, a zatem – obok wymienionych wcześniej także: *Czytając literaturę współczesną* (1986), *Odpowiedzialność za słowo* (1993), *Wokół eseju* (2007), *Słowa na wojnie* (2020). Bez większego ryzyka można stwierdzić, że bibliografią tego literaturoznawcy można obdzielić ze dwu profesorów i to z tych belwederskich.

Podobnie jak Nowosielskiego czy Przybylskiego, także Gębale co jakiś czas musiał Różewicz mitygować, przywoływać do porządku lub po prostu podtrzymywać na duchu, co tylko świadczy o swego rodzaju sympatii poety do krytyka, ale też o zażyłości, jaka między nimi się wytworzyła. Jednak rzadziej wprost, częściej *à rebours*. Gdy krytyk narzeka, poeta odpowiada pięknym za nadobne: „nie mam «daczy» na wsi,

ani nad morzem... Całe życie jestem «komornikiem»” (25 czerwca 1987 roku), „niech Pan nie da się mikrobowi rozgoryczenia” (1 sierpnia 1987 roku), „być właścicielem dziury w dachu to zawsze coś” (11 sierpnia 1990 roku), „jest Pan jeszcze młody – niech Pan nie liczy na później – to się nie sprawdza” (30 października 1992 roku); i nie inaczej w XX wieku: „skołatany malkontencie habilitowany [...] co Panu dokuczają?” (18 października 2006 roku), „Czy Pan może wie kiedy będzie koniec świata?” (22 lipca 2007 roku).

W trakcie pierwszej lektury tej korespondencji miałem poczucie, że Różewicz nieco się jednak dystansuje wobec swojego interlokutora, że stara się mówić o sobie jak najmniej, chociaż w dyskretny sposób narzuca mu swój sposób myślenia, a nawet pojęcia z tak dla siebie specyficznego słownika. Jednym z takich pojęć jest „śmietnik”, a zatem w poszczególnych listach „miejski śmietnik” i „śmietnik miejski”, potem „wielkomiejski śmietnik” i wreszcie „ziemski śmietnik”. W liście pisanym w Sylwestra 1991 roku napisze nawet, jakby wychodząc z roli kogoś zdystansowanego także wobec świata i powściągliwego w wypowiedaniu swojego wobec świata stosunku: „koło mojego domu wieczny śmietnik – rzygać się chce”. Z czasem formułą śmietnika zaczyna posługiwać się i Gębala. Rzecz jednak w tym, że w trakcie powtórnej lektury zauważyłem, że Różewicz mówi o sobie więcej, niż na pozór mogłoby się здаwać. Owszem, konsekwentnie pilnuje swojego ja, swojej autonomii i niezależności. Świetnym tego dowodem to, że nigdy nie zgodził się wziąć udziału w rozmowie z cyklu *Trzech na jednego*, specjalności redakcji krakowskiego „Zdania”, o co krytyk zabiegał przez lata w listach z 1985 roku, w 1989, w 1996 roku. Bezskutecznie, mimo że wśród tych „trzech”, oprócz pomysłodawcy

cyklu – redaktora Edwarda Chudzińskiego, mieli się znaleźć przychylni poecie Adam Czerniawski oraz sam Gębala.

Tak czy owak, najciekawiej w listach samego Różewicza dzieje się wówczas, gdy przekracza on swoistą granicę intymności, gdy pozwala sobie na więcej niż zwykle prywatności, gdy pisze wprost, że i jemu nie jest lekko, że ledwo, ledwo daje sobie radę z codziennością, ze starością, z życiem w ogóle i w szczególności. Konfesja o powszedniej ludzkiej mitrędze w rodzaju: „Trzeba coś kupić, coś odgrzać, coś pozmywać, wynieść śmieci, podlać kwiatki, przejrzeć gazetę, napisać wiersz, posprzątać, wodę przepuścić (przez woreczek z węglem)... a gdzie golenia, fajdanie itp.” (11 sierpnia 1990 roku) wydaje się jakby żywcem wyjęta z jego twórczości, z wiersza czy ze sztuki teatralnej. Albo jakby miała niebawem tam – do wiersza czy sztuki teatralnej – zaraz trafić. Nie mniejsze wrażenie robią rzucane jakby od niechcienia, mimochodem konstatacje: „żyję od przypadku do przypadku” (18 maja 1994 roku), „jestem zmęczony i «wszystko» mnie boli” (20 października 2003 roku), „Pisanie, mówienie, jedzenie itd., wszystko mnie męczy, a «reszta» napawa mnie grozą i śmiechem” (19 sierpnia 2005 roku). Nie sposób w tym miejscu nie wyciągnąć tej oto konkluzji, że to, co poeta pisał w listach, a więc w tekstach użytkowych i prywatnych, do przyjaciół – myślę teraz nie tylko o korespondencji ze Stanisławem Gębalą, lecz także z Nowosielskim, z Przybylskim czy Voglerem, a również z Dedeciusem – organicznie wręcz przylega do tego, co pisał w utworach literackich, że się tak wyrażę, do użytku publicznego. Cóż, Tadeusz Różewicz – zajęty przez całe życie rozbijaniem wszelkich form artystycznych – trzymał jako pisarz i człowiek swoją formę, której nie da się pomylić z formą jakiegokolwiek innego pisarza.